

# Piękny hurt i smutny detal

**STANISŁAW MANCEWICZ**

Minęło już parę tygodni od ukazania się dwóch kolejnych numerów Polskiego Słownika Biograficznego, dopiero teraz jednak, po zelzeniu nieznośnych upałów, udało mi się zajrzeć do nich z tą samą co zwykle przyjemnością. Ponieważ jestem sadystą, przyjemność odczuwam większą, gdy w PSB natknę się na coś, co dowodzi, iż tamtejsza redakcja mogłaby jeszcze mocniej przeć w kierunku olimpijskiej idei: citius, altius, fortius.

Numer 176, bo od niego - choć późniejszy - zacznę, jest na pierwszy rzut oka nieco monotony, ale owa dynamiczna myśl jest akurat spełniona w nim detalicznie, choć można też powiedzieć, że i hurtowo. Znajdujemy w nim bowiem ogromne ilości życiorysów facetów o imieniu Stefan, żyjących od XIII do XVI wieku. Nie mam żadnych wątpliwości, że redakcja PSB znalazła, opracowała i podała nam do wiadomości CV wszystkich Stefanów rzadko noszących nazwiska, a czasem mało komu coś mówiące przydomki. Trzydzieści skrupulatnie sporządzonych biogramów rycerzy, biskupów, zakonników, kanclerzy, kasztelanów, starostów i wojewodów to dowód superfachowej identyfikacji, przy której systemy paszportowe administracji Jerzego Walkera Busha sprawiają wrażenie zabawy w tzw. „ślepuwę”, czyli po naszymu „zgadywanke”, z kim zacz w ciemno”.

Bezwzględnie najprzydatniejszym Stefanem numeru 176 jest nasz kochany król Batory. Każdy uczeń, dręczony w szkole szczegółami z życia tego energicznego człowieka, może sobie tu znaleźć wiele niekonfekcyjnych informacji, którymi wprawi we wściekłość nauczyciela historii podającego, jak większość na ogół, lekcyjną papkę z życia naszych władców. Ot, choćby nieznaną mi zupełnie wiadomość, że Batory pochodził, jak głosi legenda, od rycerza o niepokojąco zwierzęcym nazwisku Opos, zarządzającym terenami na północ od Debreczyna, zajętych przez trójgłowego smoka. Dziś okręg Nyírség to nie tylko zbanalizowana mekka polskich reumatyków, ale pamiętajmy, święte miejsce naleśników z Hortobagy, nadziejących mięsem. I to, przechodząc szybko do 175 numeru PSB, wszystko, co miałem miłego do powiedzenia.

Oto z dużym zainteresowaniem i nadmiernymi oczekiwaniami sięgnąłem do życiorysu Andrzeja Stawara. Marksisty i niemal ojca założyciela polskiego komunizmu, ale też przecież wybitnego krytyka literackiego. Stawar, jak wiadomo, zmył się w pewnym momencie z Polski, nie mogąc już znieść tutejszego klimatu, ale i z powodu straszliwej choroby. Znalazł się u Giedroycia w Maisons-Laffitte, któremu zaproponował wydanie swych zatrzymanych przez

cenzurę tekstów, co było dla Księcia trudno wyobrażalną sensacją. Rzecz była trzymana oczywiście w najgłębszej konspiracji. Stawar umarł w paryskim szpitalu opuszczony przez peerelowski reżim, ale jego zwłoki zostały przezeń uznane za interesujący materiał propagandowy. Jak podaje PSB, ciało zostało sprowadzone do Polski i pochowane z honorami w Alei Zasłużonych na Powązkach. Na pogrzebie przemawiali tak mili panowie, jak Putrament i Stanisław Ryszard Dobrowolski. Trumnę odznaczono Orderem Sztandaru Pracy II klasy. I wszystko byłoby cacy, gdyby nie dwie kłopotliwe sprawy. Otóż Giedroyciowi udało się utrzymać tajemnicę posiadania „Pism ostatnich” Stawara, niezbyt miłych reżimowi, i wydał je już po uroczystościach, salwach i namaszczeniu godnym chowania w grobie wiernego komunisty. Ukazanie się tej książki przygnębiło i wprawiło tutejszych w zakłopotanie. Szczegóły ostatnich chwil przed pochówkiem PSB jednak pomija, a raczej wyklucza. Zupełnie tak jak redaktor naczelny Słownika Pan profesor Andrzej Romanowski możliwość lustracji. Najwyraźniej szef, zajęty doraźną publicystyką polityczną na łamach pism popularyzujących wydarzenia bieżące, nie prowadzi szczegółowej korekty swego zasłużonego periodyku. Niech mnie kule biją, ale wydaje mi się oczywiste i nad wyraz smakowite podanie Czytelnikom PSB do wiadomości fragmentu listu Jerzego Giedroycia z dnia 2 października 1961 roku do Bohdana Osadczuka. Giedroyc pisał tak: „Nie pamiętam, czy wspomniałem Panu o makabrycznym szczególe. Ambasada [peerelowska w Paryżu - dop. mój], którąśmy zawiadomili o śmierci Stawara (trzy dni ciało leżało w kostnicy, bo był weekend), spaliła ciało Stawara, mimo że nie wyrażał żadnej decyzji w tej sprawie przed śmiercią, i wysłała prochy jako paczkę obwiązaną sznurkiem, jako drobnicę, samolotem. Paczka była zaadresowana na zarząd Główny Związku Literatów, a jako nadawca podany był... Andrzej Stawar”.

To jest historia dobra, moim skromnym zdaniem, godna Polskiego Słownika Biograficznego i doprawdy jestem zdumiony, choć to jakoś rozumiem, że Pan prof. Romanowski usiłuje ją ukryć przed środowiskami budowniczych IV RP.

**Polski Słownik Biograficzny, tomy XLII/4 zeszyt 175 i XLIII/1 zeszyt 176, wyd. Instytut Historii PAN, Warszawa - Kraków 2004**

**„Gazeta Wyborcza” – „Gazeta w Krakowie” 5 VII 2005**